

ANTONI MATUSZKIEWICZ

BŁĘKITNE PRZECIWSZTAWIENIE

Wrocław 2001

W książce wykorzystano rysunki JÓZEFA HAŁASA
z cykli „Przeciwstawienie”, „Rysunki wielkanocne” i „Najważniejsze słowa”
oraz na okładce obraz tego samego artysty
„Przeciwstawienie N” (w reprodukcji Edmunda Witeckiego)

Redakcja Antoni Matuszkiewicz

© Copyright Antoni Matuszkiewicz 2001

ISBN:

WYBÓR Z NIEISTNIEJĄCEGO

NA GŁĘBOKOŚCI

Stężałe struny głosowe
powietrza aż lato ścicha
słysząc huk kry serce
sosny pękające z zimna

Krzepnie ogień gęstnieje
blask od przejrzystości
niebo wypełnia się samo
jak morze gęsta biel
rozsadza szklaną formę

Z głębokości
ciszy latimeria
rząd Coelacanthiformes
kształtem sławiących niebios

Przede mną okno
otwarte

Słońce znika
pozostają słoneczniki

Odcisnięte na cząsteczkach tlenu
oddechy średniowiecznych istot
zmyślonych wymarłych
w plejstocenie

Kamienne schodki
wilgotna ziemia

Dno oceanu bezsenne
gorejące gałązki lawy

FOTOGRAFIA TSUNEO NAKAMURY

Na zdjęciu nie ma
ziemi statek
zasłania Słońce
tylko fotografia
potwierdzająca nazwę
zdejmująca siebie
kontur zakreślony
blaskiem żaglowca
ocean

Uderzająco jasne
bufory wagon
pusty z zewnątrz
kobiety światłością
ponaglone zza pleców
ścierają okna

Odbija od podłoża
grawituje ku własnej
istocie od wewnątrz
tonie rozjeżdża
we wszystkich kierunkach

Jeszcze fale
najprawdziwszego
światła o żelaznych grzbietach
biją o peron krawężniki
siniejące wciąż
ciało niebieskie

MAPY

Uczyniono lasy z kamienia
wieże do nieba tajemne
wewnętrzne dziedzińce

Różdżki ze złota ujęto
w marmury z gór
spływające mity

Szklane plany światła
z ogrodem świętym miastem
świętym świętych pośrodku

Aureole okręty
z coraz grubszego papieru

Trawa tratwa zielona zielona
od Kairu od Ferro od Greenwich

Z róży wiatrów witrażem
drgające rozety itinerarium
mentis in Deo

Liczenie gwiazd liczenie
piasku przez przypadek
odmieniany wciąż
liczę się od siebie

PRZYŁĄDEK

Z obu stron morze

Środkiem wapienna
mierzeja wyschnięte
kości cięte kwiaty
korynckich kolumn

Biała wieża

Jest jeden
ocean suchość
soli ociera

Światło człowiek
świątynia w pół drogi

Kamień na kamieniu
zawsze cześć i kpina
milknie bryza grzmi
schizma w bieli
nieskończoność

Jak prosta
nić wypruta z labiryntu

ATLANTYDA

Zostajemy grudką wilgoci
wodą zmętniałą od gliny

Bardziej należymy do morza

Szum na pokładach
ciszy zjawia się
niespodziewanie płetwal
błękitny prawdziwy anioł

Wiecznie zielony
pień pochłania liście

Jeśli zaczerpnąć
płynność zdaje się
przejrzysta mówimy
masz piękne oczy zostań

Wyszliśmy wszyscy
z przezroczystych piramid
Atlantydy

Nie tworzymy ciągniemy
za sobą sieci
ryb które pękają
na zewnątrz

PŁOMIENÍ

Usta stronica ekran
brama zamkowej stadniny

Widać obszerny dziedziniec
ktoś przechodzi czasem
pojawia się jeździec

Elektron atomowe jądro
dwieście kroków pustki
między główką od szpilki
a pestką czereśni

Świat przede wszystkim
niczym biała pierś popiołu
ze sztywnym sutkiem ognia

Pozbawieni siebie poznajemy
czym najbardziej jesteśmy

ORION

Kim jesteś
człowieku niebieski?

Ukrzyżowanym
czy płodzącym ciemność?

Dajesz się podnieść
czy podniecasz jeszcze?

Brzęmię bierzesz czy czynisz
Ziemię sobie brzemienną ?

Świecą ćwieki stalowe
czy sperma?

URUMCZI

Urodziła się wnuczka
syn zajął pokój żony
żona mój pokój
ja pokój w suterenie

Od spodu ten sam
jałowiec rude gałązki
schną pod wieczną zielenią

Z sowieckiej przeszłości
został sztabowy arkusz
Urumczi na pograniczu
Tybetu Chin i Mongolii

Przenosząc się żona
położyła na mapie
nasz krzyż

Na moment spotykamy się
pod nim pośrodku pustyni
tysiące mil od nas

SPOZA SIEBIE

Wiersz już zupełnie znikąd

Nagle łąy przechodzącego
zakurzonym targowiskiem

Mężczyzny upokorzonego

Zaprzeczono w nim
nadającego kształt miłości

Nagle łąy nowego
siebie bez siebie
w zawróceniu Ziemi

Zjeżonym życiu

Ta co zdradziła dziękowała
za otwarcie oczu

Podarunek
dobra i zła

Łzy nieoswojonego

Miłości przerastającej

EWANGELIA

Ofiara z kolorów - za światło w przyszłości...
Juliusz Słowacki, Notatki różne z raptularza

Drzewa i miasto
dom kobieta
której nie ma

Wszystko
wszystko jedno

To co właśnie robisz
nieodparcie piękne

Zamknięte teraz
radio otwarty zegarek

Może w tym momencie
niesiesz po zimnych schodach
purpurowy popiół

Nagłośniony ciszą
nasłuchujesz siebie

Za coraz większą moc
oddajesz życie

RYTUAŁ

Mijaliśmy się

Wykonywałem rytuał
źródła wiecznej młodości

Przemknął spocony
zwolennik joggingu
potem adept karate
rozluźniający mięśnie

Wrzasnęła wrona

Mijaliśmy się

Dęby trzysta lat wzwyż
żeliwna pompa
dwa wieki w głąb

Mignęła sójka w ściółce
grzebały wiewiórki

Wąwóz wytchnął
aromat surowej ziemi

Mijania się ze sobą

Zapomnianych ferii

Krok za krokiem
na podeszwach czuję
jak odchodzi

Zadrgało frunęło
odbite niedostrzegalnym
piórem światło

Gorący zapach
ścieżki skóry
sandałów w ręce

MIĘDZY LEWYM A PRAWYM

Wciąż ciemniej
choć błyska burza
przeszła obok

Nadal czytam
w przedziale historia
literatury dwudziestolecie
trzydziestolecie

Zza okna pachnie
wiosną jestem
wciąż nierozdzielny
płcią najpierwotniejszy

Przecież jeszcze
mogę dać odpoczynek
ciału zzuwam buty

Zapisuję między
lewym a prawym

SENS

Nie pamiętam twarzy miejsce
pełen emocji sens cmentarz
czterdzieści lat temu mówi
byłam w ciąży wziął mnie
na ręce niósł przez śnieg
do wioski dziewięć kilometrów

BROUMOVSKI MONASTYR

To nie jest zbezczeszczony klasztor
kosmos z chaosem z pełnią pustka
jeszcze z biblioteką polichromią rzeźbą
odkrytą tutaj kopią turyńskiego Płótna

To nie jest tylko czas w architekturze
aż dotąd istniejący niegdysiejszym
benedyktyński barokowy monastyr
komunistyczne więzienie dla księży

To odwieczność wydana dotknięciu
jestem w Ojcu wy we mnie ja w was
zwiezione zewsząd mniszki hostie
piekły tu potem dla całych Czech

NIEKOŃCZĄCE SIĘ PRELUDIUM

Najgenialniejszy ruch klawiszy niczym
oddzwania tylko echo szklanej ciszy
bezsilne palce nie milnące nigdy
stukają w deskę mur lub kaloryfer

Jedyny przedmiot wszystkich sztuk nadzieja
dźwięk struny więzów ludzkiego zwierzęcia
jak poryw serca uwięziony w dzwonie
trwa co dzień trud uwagi ostatecznej

Uderzający wdzięk niezaprzestania
powszedniość błędnie albo się rozżarza
od tego światła mocy wciąż angażowanej
bezustanności aż tak bezskutecznej

FORTEPIAN

Śnił mi się niebiesko
pomazany fortepian

Wieko przymknięte klawisze
tylko po prawej
niemy sopranowy rejestr

Żyjący więc barbarzyńca
szedłem gdzie ogród

Nieboskłon nie-bieski
tchnąć by ledwie a
stanie się Stwórca

Jeszcze za pośladem
snu spadały szczygły
z lazurów trecenta

Pojedyńcze trawy
jak zawsze w pełni
najwyższej nadziei

Kamiennie kamienie
istotne bez ironii
do ostateczności

Jak słowo które mogło
by być na początku

Śniłem dzisiaj fortepian
pomazany tandetnie

Kunszt skruszony

31 lipca 1998 r.

U KRESÓW

PEJZAŻ KRESOWY

Jak cień mój w tamtym przesunął się kraju...
Kazimierz Wierzyński, „Piąta pora roku”

To ziemia stworzona pod jesień
na sierpień dostały lub wrzesień

Pod brzoźami w polu pociągnięta kredą
stoi Boża Męka z roku dwudziestego

Gladiolusy słoneczniki dale
melancholia leżących jabłek

Syn Człowieczy stracił prawe ramię
cynobrowe jakobinki ktoś postawił rano

Jak bicz promień tnie siną zasłonę
płonie zieleń wrą sosny czerwone

Zagonami tytoniu tli się cisza woskowa
mój ojciec moja matka patrzą niebem od Lwowa

To ziemia stworzona pod jesień
na sierpień dostały lub wrzesień

Po brzeszczotach paproci rym się z rosy niesie
wiesz że Leśmian że Wierzyński śnią w tym lesie

Gladiolusy słoneczniki dale
melancholia leżących jabłek

Nad rubieżą mglisty bezkres się wyłania
koziół znika jakby nagle wzbil się anioł

Jak bicz promień tnie siną zasłonę
płonie zieleń wrą sosny czerwone

Tutaj pewnie ze szczęściem rozsypał się dzbanek
jeżyny grudki oczek z kostek pozbieranych

To ziemia stworzona pod jesień
na sierpień dostały lub wrzesień

GORAJEC

Cichnie przybój sośniny
przechodzisz przez morze zielone
w głąb
gdzie spoczęła trójkrzyżowa fregata

Przeszyta nienawiścią
porasta nowym poszyciem
aby powstać ku pieśni ku życiu
Ewangelii Eucharystii

W spoistym jak bursztyn powietrzu
powiew zmartwychwstania
powstaje Mojżesz z martwych
powstaje Melchizedech
i Jezus siedzący za stołem
w najgłębszej ultramarynie

Wiszący na krzyżu
swój wśród swoich
dobrych i złych Rusinów

Błyśnie arka podniesiona nad szeolem
drewnem życia znów przełamie się z błękitem
trochę inna bardziej krzywa bardziej prosta
jak trwa w tkance odmienionej stygmat

Nie widzisz tutaj niczego
trzeba oczu zaszklonych
rozszerzonych przerażeniem źrenic
by zobaczyć tonących w listowiu
by zobaczyć pogrążonych w płomieniu
z cierniową pętlą u nóg

Wzrok mknie po szmaragdowej topieli
wilgotna łąka sosny ukraińskie groby
zielone od porostów mchów i liści malin
nie odwracając głowy
idziesz jak po szybie
chryzoprazach malachitach nad otchłanią
Chrystus Chrystus trzyma cię za rękę

Naelektryzowany oddechem jantar
porywa z twojego dzieciństwa
strzępki słów ruskie przysłowia

Łuskę ikonostasu spod nóg

Jak mżawka z poszarpanych chmur
w łachmanach spada na nas
płaszcz Eliasza

24 sierpnia 1994 r.

RADRUŻ

Cerkiew stoi w woalce dżdżu
jakby cierpliwie służyła za model
dla nieba
które powoli szyje się świeżym gontem

Nikogo nie ma dokoła
wokół kładzionych na obłap
belek jak dłonie
wyciągnięte w cztery strony świata

Wsparta na powietrzu
ponad ziemią która stąd odeszła
w sercu ikonostasu pusty krąg
po krzyżu

Chciałbym dobyć głosu
z dzwonnicy
na widok piętrzących się dachów
spiętrzonej strzechy sosen
Krainy i Ukrainy

Chciałbym dobyć głosu
z siebie
z wysokości
zza przeźroczystych desek
deszczowych igieł
z wnętrza krojonych
kłoców łupanych kłód
drewna szczepionego z drewnem
drewna orzącego drewno
drewnianych ćwieków czopów trzpieni
ciemni w drewnianym ciecie

Patrzę na wyrwany z ziemi język
wyraźniejące wśród glonów i mchu
litery jak listki ziół

Które w moich ustach są jak piołun
które w moim sercu winny być jak miód

26 sierpnia 1994 r.

WOBEC KRZYŻA

Ile masz lat?

Srebrne ciało aureola srebrna
na czerni
obrzeżonej żarem złota
na czarnym drewnie
rytowanym płytko
w listki kwiatki gałązki
jak czarna łąka

Z napisem winy ogromnym
jak korona ciężąca nad krzyżem
jakby nie dość jednego rozpięcia

Czuję jak patrzą
od Ciebie
przez deskę pionową
poziomą

Patrzą
wszystko znikło

Krokwie słupy podwaliny
mgła oddechów
mgła kadzideł

Ty im zostałeś
tak bardzo gdzie indziej

Na łacińskiej
na polskiej plebanii
Jezus Chrystus
Żyd i Ukrainiec

27 sierpnia 1994 r.

ŁÓWCZA

Śnił mi się dzisiaj grób dziecięcy w trawie
cztery deski wewnątrz grecki krzyż spróchniały
jakby wichur oderwał z pnia skrzynkę lęgową

W czterech ścianach puszczy sześciu ścianach
cztery ściany rosną i sześć ścian drewnianych
tak jak w Ojcu Syn od wieków Ojciec w Synu

Modlitw dzwonię drewniany sznur twój potargany
jeszcze szmerze wąwozem szarpie po kamieniach
tu już krzyże straciły ze starości pamięć

Pod parkanem przechodzą nieproszone paprocie
nad blaszaną kopułą cisza coraz wznioślej
kołuje spoglądając z chmur krogulczym wzrokiem

Proch z prochu i kość z kości świat ze świata
gdy uklęknąć gdy się skupić można wejrzeć
z przekrojonych złotych jabłek patrzają pestki

Przez źrenice moje gwałtem patrzają ku rośnięciu
żądne wschodu na skroś patrzają słońca bezlitosne
jakby ściany wrót zawartych mnie nie było

29 sierpnia 1994 r.

LAS POD CIESZANOWEM

Las płytko tynk tu zdrapać dębowe przyciesie
rosochaty horyzont ziemia na jelenich kłębach
rogacz pod kościołem pod bóżnicą i cerkwią
strzyże uchem jakby cieląt swoich strzegąc

Oparzelisko niebios ściętych mrokiem
błyszczą krągła kałuża w wydeptanym błocie
wokoło połyskuje lód w jelenich tropach
jak wilgotna racica zalśnił meteoryt

Lgnę do konarów pni przysycham do podłoża
zgłodniały byk podniesie łeb obróci wstecz
okrzesze z gwiazd sosnowy horoskop porożem
zedrze korę zębami zedrze kruchy porost

2 września 1994 r.

NIEBIESKI CHODNIK

Na niebieskim chodniku jest niebieski samolot
ten kilim aeroplan nadciągnął od Lwowa
ze świętym Janem z Dukli Stanisławem Kostką
setką złożonych krzeseł książkami proboszczem

Jeszcze tutejszy kleryk na zamglonym zdjęciu
poznaje pochylony profil księdza Kłosa
jeszcze tu mieszka stara Maryśka gosposia
lwowianka która słyszy czego nikt nie słyszy

W niebieskości z chodnika krok tylko na chodnik
Antoni z Padwy kościół miał na Łyczakowie
i szkołę tu Władysław Matuszkiewicz wdowiec
poznał pannę z Gorganów Marię Alexandrowicz

Italczyku z Lizbony bliźniaku batiarom
oręduj pilnie za mną abym się odnalazł
pisząc o sobie pisał zza granicy siebie
tak z chodnika w błękitach wymadlam do Ciebie

10 września 1994 r.

IKONOSTAS DOMOWY

Wizerunek nie czyniony ludzką dłonią
wiarygodny rysowany samym światłem
patrzy święty śri Ramana Maharishi
z pełni pustki w papierowe moje światy

Na odwrocie pieczęć życia szem-ha-forasz
uczeń lwowskich kabalistów ją wykonał
wychowany pośród Żydów jak mój ojciec
gwieźdną gnozę tak jak mowę mam ze Lwowa

Roman Szuter trojgiem oczu czytał Biblię
potem szczerze sprawę zdał metropolicie
rzekł Szeptycki zatrzymaj to synu dla siebie
rękę podał z najcichszym kamieniem szafirem

Nieprzerwana od prawieków jest świadomość
bielą hostie czernią patrzą oczy ikon
tkwią w źrenicach bhagawanów ziarnka bytu
trwa istnienie między znakiem a Istotą

12 września 1994 r.

ŻYWE GWIAZDY

W radosnym śnie wysniona więc promienna
jej szczęście niezależne od niczego
ale pokorna przyjmowała zaszczyt
to ona spisze wszystko co pamięta

Deszcz lecz wychodzi na dwór jak na święto
jest sad pozostał mur tamtego domu
jak do altany wchodzi między cegły
tędy wzdłuż ściany biegł graniczny kordon

Po tamtej stronie nadal znać pogodę
zjaśniało deszcz od oczu rozblękitniał
zazieleniał tyle żywych ruszyło się w ciszy
światełek złotych gwiazd żydowskich

27 września 1994 r.

SEN RÓWNONOCY JESIENNEJ

Śnił mi się rabin pastor raczej pop
cerkiew w gęstwinie odrastała od drzew
porzucona zdziczała unizona cierpiąca
kościelność wolna w niebo bijąca jak krew

Stałem w kruchcie u zaszklonych wrót
wciąż zamknięte szybowwały ze mną w głąb
na miejsce dokąd zabroniono wstępu
staruszcze księżnej w sutej lśniącej sukni

Jakby wiedząc że spoglądam z klatki w sen
przeźroczystą błoną płodową spowity
jak ptak ciekawy więzów patrzący za pręty
nadchodził aby objąć mnie obrzędem

Jak zwykle we śnie nie pytałem kim jest
objaśniał mi liturgię odbudowę bazyliki
zbliżał się w pokorze obnażony długowłosa
półżyjący wskrzeszony jakbym miał go chrzczyć

22/23 września 1994 r.

RADOŚĆ

Opatrywałem
jej gnijące stopy

Była ozdobą
lwowskiej ulicy

Chciał ją malować
Sichulski

Fiolet wielkopostnych ornatów
nad bielą

Pokutujesz
to jeszcze za mało

Rozraduj się
rozraduj

6 marca 1991 r.

BŁĘKITNE PRZECIWSTRAWIENIE

WODA

Annie Aurorze Chmielowskiej

Nie wie
że dotknąłem jej wiersza
jak dziecko
nagle rozsypanej jarzębiny
nie rozumiejące
co znaczy przestać
się rozwijać
być oddzielonym
od piersi od pnia
od ziemi

Nie wie
że dojrzewać to rosnąć w zdziwienie
wiedzieć
znaczy być młodszym
zbyt małym
aby się ujrzeć odrębnie

Że pewność siebie
to niepewność wody
czy mroźna biel odczyta
ją jako swą wolność

Brzeg, 15 października 1994 r.

ARKA PANA

Markowi Motyce

Chciałeś mieć chwilę
dla siebie

Być świadomie
dzieckiem
iskrą
cząstką

Elektronem obiegającym Arkę

Wysiedliśmy z samochodu
szliśmy po błocie
po kamiennych stopniach
pod stępkę
na grzbiet mielizny

Wokół nie było nikogo

Poszycie od spodu
obrosło mrokiem
przędzą zużytej modlitwy

Maszt oddzielał ciała
niebieskie rozróżniał
między arktyczną sinością Syriusza
a żarliwością Marsa

Koniecznością prostoty
sprowadzał spontaniczność

Politeizm światła

Transmitował ciszę

Gęsta kropla pełni
przepływała w koronę
czarne złoto ciemności

Stalową gwiazdką
otworzyłeś matowy cynober

Określiła nas karoseria

Znów cel się znajdował
gdzie indziej

Ziemię i niebo
grodziła nadzieja

Kraków, 13 lutego 1995 r.

WIGILIA Z GROZNYM

Nie patrz nawet
jak niebo goreje

Co ci do tego?

Wśród twoich przodków
mogą być Ukraińcy
Austriacy Ormianie Litwini

Może Rosjanie

Nigdy Czecheńcy

Chrześcijanie
najrozmaitszych obrządków

Być może i
starozakonni

Na pewno nie
muzułmanie

Pozostaw
niewierzącym niewiernych

Wywożonych wywożącym

To jest ich
sprawa

Wewnętrzna

Co ci do tego?

Ty zajmij się własnym
życiem wewnętrznym

Bądź sobie
u siebie
wyznawcą Chrystusa

Bądź sobą

Co z tego
że się zbiegli do Groznego
pasterze?

Pokłonu monarchów
nie będzie

20 grudnia 1994 r.

SPOŁECZNOŚĆ

Izbie i Arturowi Wymysłowskiemu

Kolumna z piszczałek
jak milczący Pięcioksiąg
równy niemy
ton w przestrzeni pięciokroć

Zbór pod stropem zboru
wieża wewnętrzna społeczność
poddana najprostszemu
jednogłośność pięciu samogłosek
pięć palców wskazujących
jednocześnie jedno

Zrównoważone pięć rytmów oddechu
tattw hathajogi i pięć elementów
pięć części ciała i pięć części świata
między ciszą północnych
i południowych lodowców

Ciągłość urwana w pospólności
jak źdźbła zrównane ostrzem
wiekowość wobec wieczności
wobec intelektu instynkt
intelekt wobec intuicji

Przyłożono
niewidoczną płaszczyznę
zostawiając nas samych
w całej złożoności
z matowym odbiciem
z rozchylonymi wciąż wargami
chwytającymi zewsząd oddech

Jakby istniał zupełnie
odmienny dalszy ciąg
zaświadcza bezsłowną
liturgią ziemia nowa
i niebo nowe
nad sinoszarą krą

Mężczyzna i kobieta
wkrótce staną się
jednym ich płomienie
połączone płoną
w jednej świecy

Złączeni Słowem bracia odłączeni
jednoczą się Chlebem i Winem

Do wtóru organom
milczę wciąż bardziej
wielokrotnie

Weszli spóźnieni
jakby drzwi nie było
ani przedsionka

Nie zamykała
się jedność

Jakby nie było początku

Murzyn przejrzyściejący
od czarnoskórej Biblii
wcisnął się w ławkę przeniknął
moją przeźroczyłość

Deski z boru
niosły sosnową świeżością

W istnieniu wyraźniejącym
nad głos i milczenie
zabliźniało się
pięć ran

Wrocław, 24 września 1994 r.

BŁĘKITNE PRZECIWSTRAWIENIE

Józefowi Hałasowi

Blade brodawki niebios
szereg modrych blizn

Mleko i krew życie i śmierć
w błękicie

„Błękitne przeciwstawienie”
sprzeciwia się światu
białej papierowej
kuli w której mieszka światło

U jej wylotu porcelanowy
dzwoneczek czeka iluminacji

Poniżej bieli
tylko ten świat
stworzonych powtórnie
z wilgotnej gleby
odtworzanych tchnieniem
gwiazdy
pustoszejącej do wewnątrz

Teraźniejszość
mieszka w niebieskości
między błękitem a błękitem

Łączy stronice
liturgii godzin

Malarz
z własnym
światłem idzie pod brzask

Powraca
za ścianę za czas
za siebie

Pisze mi się
półmrokiem długopisem
błękitnym między kartkami
„Naśladowania”
i Ewangelii

Między nocą a dniem

Nie pisz o wszystkim
pisz całym sobą

Malarz stawia znaki
i jak potomstwo Abrahama
policzone w niepoliczalności
są ziarnka piasku
źdźbła trawy i liście

Malarz choć jest
na świecie nie jest
z tego świata

Świat jest w malarzu
jak Ziemia w błękicie

Obraz przekracza
potrzebę obrazu

Otwiera
otwartą przestrzeń

Cisza i zgiełk
na równi niepojęte
niemieją pod niebieską
tęczówką

U źródła próżni

Na skraju abstrakcji

Wrocław, 14 stycznia 1995 r.

WIELKANOC W STRUDZE

Rzut oka

Nad brzdami lśnącymi czerwono
szare z oddali
liliowe modrzewie

Chciałbym tu wzrosnąć
z ziarenek żrenic

Miejsce za miejscem

Przestrzenia

Dotknąć jak miłość
wszystkiego

Od szpaczych lotek
w przydrożnej jarzębinie
po korzeń

Szpakowatą siność
Chełmca
Hochwaldu
wysokiego lasu
z puszystym chłodem
gniazd
pod opuszczonym niebem

Jestem w widzeniu

Wielkim okiem
w wypróchniałym drzewie
życia w czasie
Wielkiej Nocy

Pod wyluskaną spośród murów
stropów eliptyczną
sferą paradnej sali

Wydmuszką pisaną
ultramaryną kobaltem
znaczącą zodiakalną zoną
co pęka teraz
prosto w błękit błądy
szelf nieskończoności

W skamielinie grążącej
pręgami luków pokusą
zniknięcia w przejrzystości
pomiędzy pasmami
cynobrowego chalcedonu

Nakazującej wypisywać
czern dla pełni
światła otrzeć
delikatnym ostrzem
ostatnie grudki błoto
z krystalicznej gładzi

Czuję dokoła cierpi
pejzaż uwiera głębę
szorstkie piękno

Jakby ból sięgnął
mnie poza mną

Rani przestrzenność
przejrzenie nagle
siebie zewsząd

Ten obraz świata
jaki możesz znieść

Struga, 18 kwietnia 1995 r.

TRÓJMASZTOWIEC

Zdzisławowi Władysławowi Żurkowi

Cienie
jak wydęte żagle

Od Słońca oddechu
minut co nie mijają
lecz rosną

Trójmasztowiec
wznoszący się
kamienną strugą

Z podgórskiej Wenecji
spłynęła woda została
fantasmagoria

W mrocznym pokoju
z odczytywanych głośno
wierszy spłynęła mowa
została nadfiołkowa feeria

To jest ten asfalt

To jest to miasto

Nasze cienie
nie mają wieku ani płci
łżejsze i szybsze
lepsze od nas
nie dotyka ich dotyk
nic nie może
poniżyć

Z życia
spłynęło życie została
tulipanowa podczerwień

Obróciliśmy się
w pojedynczość
choć widać wciąż jaśniał
pokład nieuchwytny
kładał się kadłub
na niewzruszonej stępce

Pośpiesznie
jakbym mógł

jeszcze cokolwiek
utracić w pełni
nocy składałem
papierową żaglówkę

Znajdowałem się
coraz gwałtowniej
za burtą

Pogrążając
w nieuzasadnione

Szczęście

Żarliwą nieobecność

Boguszów, 1 maja 1995 r.

KIM JEST

Karolowi Maliszewskiemu

Kim jest ten człowiek jak drzewo
w korę kryjący się z dzieciństwem
w bezwstyd z bezbronności
błuźniący z ogromnym cieniem
na bezkarną przylaszczkę
bezczelny przebiśnieg

Odczytując siebie uchodzi
z życiem ponad Słońce
unoszą głowę mruży oczy
akcent nad światłem
kreśli czernią

Trudno w wysłowionym kruszcu
rozróżnić połysk zakurzonej Rudy
poeta boli bywa tu
i teraz zdzierając tkanekę
wokół ponoć aż po wieczność
do swojej rzeki nie wejdzie
ponownie ochrzczony
w słowie wie że nic
nie znika cokolwiek dotknie
płynie w głębi niego

Jak on to robi
szczerzy aż po przemilczenie
w najtrafniejszych utworach
własne to człowiecze echo
jest niczym znaczy
nad miarę jego pychy

Poezja to minerał który słyhać
zaniemówienie w bardziej niesłyszanej ciszy
kim jest ten człowiek tak nieustępliwie
pytający jak źródło wracający
ze snu kim jestem?

W którym świat z głosem
chce rozstać się krzykiem

16 sierpnia 1996 r.

GÓRA ŚWIĘTEJ ANNY

Poli i Karolowi Maliszewskim

W pełnym słońcu
jak Księżyc
świątynia zamknięta na klucz

Biały odprysk
niewidzialności

Puste nisze
w tle opuszczona pustelnia

Hieronim czytał włoski wiersz
o siostrze przyzwyczajenia
tragedii

Chodziłem rudą drogą
oddalając się
zbliżając

Zapisując

Jakbym zstępował
i powstawał świadomy
powszechnego
ciążenia kształtu

Z kręgu milczenia

Nieruchomo
rozchodzącej się fali

Gór ciszą
dobiegających dzwonu

Poezji
twórczego izotopu
nicości

Nowa Ruda, 25 maja 1997 r.

POWRÓT

Job 19, 27

Wracalem
bylem sam

Az spod nog
od kostek granitu
szarzejacych najrozmaiciej
wyrazniejacych az
chcialoby sie zliczyc
doswiadczyłem ze kamien
cisza to oniemiałe uczucie

Bylem sam
coraz bardziej nie bylo nikogo
nawet sylwetki na skwerze
to byly tylko jałowce

Nagle kochalem
swobodnie
wokół

Jakby porwany
brakiem miłości

Bylem pewien
ze slucha

Wysluchuje

Obejmuje tak mocno
odepchnięciem

Łaknie

Całym miastem

Nic nie znaczyło
odrębnie nie było
miejsca na lęk

Godziłem się z każdym
cierpieniem nic
nie ubywało mimo
to treść wzbierała
wplywała słowami
stylem

Pustka nawet cudownie
nie musiała się napełniać

Lśnił jaskrawo bezsilny
Mars pociąg z oddali
ostrożnie popróbował
słyszalności żelazny
flet zawieszający
ekstazę milczenia

Z tym osamotnieniem
nie porównać niczyjej bliskości

Jak twarzą w twarz

Wprost

Istnieniem

Nieszczęście nie jest
nieszczęściem nie jest
brakiem szczęścia

Nie ma
już nigdy nie ma
wyjścia

*To ja zobaczę
oczy moje ujrzą
nie kto inny*

Świdnica, 6 marca 1995 r.

THEATRUM SACRUM

Pamięci Michała Klahra Starszego (1693-1742)

Co to znaczy wyrzeźbić Zmartwychwstałego?

Czy bezpłodnie naruszyć źrenicę
eksplozją złocistych promieni
takim barokiem sprzęgnąć drewno z drewnem
by słyszeć trzask karminu
nad stężeniem bieli?

Może powracać osiemnastoletnim
z czułym dotknięciem do zielonej sierści
drzew zieleniejących w osiemnastym wieku
kłaść od nowa kamień na kamieniu
zwoływać dzieci złączone ze światem
pępowiną zapisu w parafialnej księdze?

Może nie odwracając srebrnych zawór nocy
wejść mimo drzwi zamkniętych
z nicości tak głęboko przyswojonej
tworzyć aksamit jasnioletowy
fotografie kartoteki katalogi?

Ale co to znaczy
wyrzeźbić Zmartwychwstałego?

Zadać nieuleczoną ranę widzianemu
rozszarpać korę myśli wyszarpnąć spod głowy
sen choremu na życie choremu na zdrowie
by czując spustoszoną przestrzeń
pytał i pytał bez ustanku
kiedy już nie chce już nie ma nadziei
gdy pojął że nie ludzką rzeczą
odpowiedzieć?

Kłodzko, 1992

WOBEC CZERWIENI

WOBEC CZERWIENI

Jej ciało
było szczęśliwe

Z chwili na chwilę
intensywniało w świetle

Rozświetlało chodnik

Jakby się przeglądało
w przezroczystym lustrze

Wzbierało od spontanicznych
gestów odsłaniających jeszcze
śmieiej smukłość

Bijące od płomienia gorąco
przenikało materiał chłונąc
krótką sukienkę koloru
skał nad Morzem Czerwonym

Patrzyłem na nią
widziałem żywioł ognia

Jak zaćmić
taki blask?

Jakim prawem?

Prawa nie było
płonęła oczywistość

Rzemyki sandałów
jak pałeczki kadzidła
zażegane zaklęciem
wybuchały wizją

Egzegezą ognistą
nieodczytanych dotąd
granitowych hieroglifów

Była między nami
cisza rozżarzony metal
dotykał kogoś
komu zaklejono usta

Nagle stałem się świadom
że w płucach mam tlen
zarzewie eksplozji

Mężczyzna we mnie
powiedział oto prawda
promień ostateczny
zarys widnokrąg

Szukałem słów
by między jej
ciałem a nim
sobą a mną
przerzucić kładkę
ponad pożogą

Zaklinałem własną całkowitość

Aż doświadczając
że się nie oprę
na niczym doznałem
stałości gwiazd

Konsystencji wiersza

Albatros nad zmierzwioną kipiela
patrzyłem w przerzynający się
krater

Wulkaniczną
czelusć planety

28 czerwca 1995 r. 15.01

SIERPÓWKA

Ktoś biegł
przyśpieszał

Jakby się ścigał
z ostatnim dniem maja

Siwą sukienką sfrunął
z kamiennych schodów

Dziki gołąb

Sierpówka

Tenisówki
na barokowych przedprożach
zapisywały jaskrawo niewidzialny
biały wiersz
metafizyczne graffiti

Jak szkło bezbronny
chłonałem obraz jej włosy
drgające na karku

Pamiętając tak bardzo
wnętrze dłoni zieleń
w ciemności
wśród linii losu linii
serca ezoteryczny
zarys liścia

Którego nie umiałem nazwać

Życia przy życiu

Przy jaźni

Świdnica, 31 maja 1995 r.

BEZ SZKŁA

Z wyszczerbionych stopni
przez nagie belki pachnące
wilgocią ze wszystkich sił
spoglądam wzwyż

Na wschodzącą
konstelację kobiety

Rzekę na niebie
szukającą źródła

Na rzucającą urok

Znów tak mocno w sobie
spotykam ją chociaż
wciąż nie mogę dotknąć

Deszczówką zmywa
z dłoni drogę

Jest przejrzysta
jak przyszłość

Przez półokrągłe dachówki
w ruinach Strugi
strugach ulewy spływa
ku jej piersiom
rozcieńczona szarugą
renesansowa harmonia

Zamazując gliniane tabliczki
przenika w gibkość
śmigłość

Z żywiołu w żywioł

Białe palce w chaosie
rozprysków formują
przestrzeń w kroplę
rozpuszczającą widzialność

Przeźroczysty kamień
węgielny

Zamku

Życia

Bezbrzeżny inicjał

W czyste ręce błękitne
oczy oddaję jak nikomu
jak niebu ten zapis

Jeszcze tak jawnie
niepodobny sobie

Nieład
wyrzynającego się
poprzez zwaliska
ład

Wiosenniejącego w pełni
lata mnie

Wiążące się ścięgna
schodów
podesty kolumny arkady

Kolebki sklepień

Niebieskiego sklepienia

Jakby się słyszało w szumie
deszczu szmer skruszonych
cegieł z odwróceniem klepsydry
zsypujących się w całość

Patrzymy na siebie
przez okna bez szkła

Parasolką
w drobniutką kratkę
wypływamy
na pełne niebo

Struga, 15 lipca 1995 r.18.25

BŁĘDNE SKAŁY

Szarość
poniżej modrości

Jak kora mózgowa

Komplikująca się
od natchnień wiatru

Z barierkami
z barwnymi tropami
pamięci

Wokół olśnienie
lżejsze od myśli

Wołamy po imieniu
nasze góry
błękitne jagnięta
stłoczone wzdłuż horyzontu

I Karkonosze
bezkamienne
poczęte właśnie
w widmie światła

Bywałem wyżej
nigdy tak wysoko
nigdy tak daleko
nie spojrzałem

Najbliższy człowiek
jest najwyższym
wzniesieniem na Ziemi

Cień serca
wyjaśnia prawdę

Całą drogę słyszałem
oddech góry
wędrującej ze mną

Ten świat zaczyna się
od niej

Od niej
nabiera znaczenia

Nigdy nie był
wart tyle

Świat jest miłością

Malowany srebrnymi
pędzelkami traw
przebiegający w jelenim
porożu osadzający się
w kamiennej księdze

Głazy lekko
przysiadły na wierzchołkach
lasów powstrzymywane
przed ucieczką w niebo
odblaskiem gwiazdy

Tak jaskrawo
Ziemia się staje
od piękna

Wszelki ciężar
istnieje by dotykać
niedotykalnego

Ciała istnieją
dla bezcielesności

Jak dwojgiem źrenic patrzy
przez nas jedność

W niebiosach
zrasta się dojrzałe
jabłko

Zorza przepływa
wciąż z dłoni do dłoni
uratowana przed upadkiem
poza widnokrąg

Błędne Skały, 29 lipca 1995 r.

STRUMIEŃ

W łożysku żwir
porfirowych erytrocytów

Odcięty od żyły
karminowy
jak serce karneol

Co słyhać jeśli odjąć
sens i dźwięk?

Koan kamienny
pień dadoxylonu
oniemiały dotyk
wulkanicznego języka

I tylko to ci posyłam
bijące z nagle rozwartej
ciemności ściśnięte głazami
światło

Ziemię bez ziemi
mnie beze mnie

Nowa Ruda, 27 maja 1995 r.

IDIOM

Lubię kiedy się uczysz
obcego języka słów
nie rozumiem wciąż
w naszej bliskości brzmi
twój głos wolny
od znaczeń jak muzyka

Lubię kiedy się uczysz
obcego języka to już jest
przyszłość rosnąca obok
mnie jakbym czuł
jak wielkie drzewo
pragnie światła

Lubię kiedy się uczysz
obcego języka mówisz
do mnie jakbym wszystko
rozumiał tak jak dotykasz
gdy wymieniamy się
niewyraźnym

Lubię kiedy się uczysz
obcego języka myślę
że tak właśnie uczysz się
mnie idiomu serca
który tak trudno
zrozumiale wypowiedzieć

7 sierpnia 1995 r.

OCEAN SPOKOJNY

Jest magia dotyku
czyjegoś ciała

Jak się dotyka
Wielkiego Muru
lub wskazując gwiazdę
dosięga niemożliwości

Kiedy terazniejszość
milczy sama do siebie
jakby prócz niej
niczego nie było

Jest magia dotyku
czyjegoś ciała

Kiedy się jest
na czyjejs skórze
jak słońce deszcz
jak powietrze

Kiedy się nie przybywa
lecz od drugiego serca
drugą krwią podpływa
pod powierzchnię

Jest magia dotyku
czyjegoś ciała

Między skórą a skórą
wewnątrz i wokół w słoności
potu i krwi przeczuwamy
Ocean Spokojny

8 sierpnia 1995 r.

DYM

Nietknięta wiatrem
niewidzialność bijąca
z bezwładu białości

Świeża jak źródło
mocna woń kobiety
jak igliwie ciasno
zrosnięta z tlenem

Kłuje twarz skórę
szorstkością jałowca
piecze aromatem
rozgryzionej szpilki

Tylko zwęglona gałązka
rozsypana w bezładzie
wokół płatków ognia

25 sierpnia 1995 r.

SZKLANA GÓRA

Jakby nic przed
nami wszystko
po tej stronie

Schodziliśmy
ze szklanej góry

W mroku
we mgle lód tylko
jaśniał

Tak przewrotnie
istnienie wyrażało
szorstkość

Zazdrośni
wobec nieszczęścia
drżeliśmy wzajem
o każdą cząstkę

Nieprzytulne podłoże
pozwalало posiadać
po kres

Poza miłością
tylko przerażenie

Za mną za tobą
była tylko przepaść

Powstrzymywany
orgazm śmierci

Ślęza, 4 grudnia 1995 r.

MIĘDZY WIERSZAMI

Barokowy kunszt lustra
mitologiczne sztukaterie
myśliwski plafon tapiseria

W marmurowych tkankach
antyk wieczna jesień
złote płatki akantu

Skrzyp skrzypiec brzęk
wionoczel wiązane słowa

Blondynka z warkoczem
wplata palce
we włosy dziewczynki

Od gór milczy miłość
wodą żywą drzewami życia
zakładką z lotki jastrzębia

W ich nieboskłonach
spierzchnięte dłonie
wkładam w twe ślubne buty

Wrocław, 17 czerwca 1997 r.

PRZEŁĘCZ

Przyswojeni za ledwie
ziemi niepojęci
w fałdach zieleni
uciskamy szarość

Znaczymy poza
wyostrzoną percepcją
igliwia

Nad nami przejrzyste
skrzydło pasmo ciepła
w przezroczystym gnejsie

Krucze wersy kłód
bezsilnie kreślą
potoczystość

Z głoskami wody
nie upływa światło

Przyśpieszony oddech
oddala od szczęścia

Zwalniając
znajdujemy siebie

Miłość to powrót
dróg w bezdrożność

Nic pilniejszego
ponad terażniejszość

Pod wykrotem świątkiem
niedorzeźbionej wiary
jesteś mimo słów
niema jak skrzyp
niewysłowiona

To nie zbliżenie
łączy zachwyty
mimowolna wolność

Na pogrążone
w ściółce listki śladów
czyha schylona
blaskiem przełęcz

Góry Sowie, 26 maja 1996 r.

NIERÓWNOŚĆ

Idziemy nierównościami ziemi

Świerki w oddali
pół na pół z widzenia
pół na pół zwidzeniem
całe w ciszy

Idziemy powoli
cisi w słowach
cali między słowami
podzieleni istnieniem

Jeszcze w nas słyhać
spłoszone zimą jelenie

Idziemy przez łupki
łyszczkowate nieme
spółgłoski światła

Pokrzywnik na skale
wolno tak jakby nie
chciała zakończyć się
chwila składa skrzydełka

Dwa światy ten
i ten kiedy patrzymy uważniej

Nie nadążam
za zwolnionym krokiem
za zwolnioną myślą

Nazbyt się spóźniam
by stać się tobą
by stać i słuchać
spoza widzialnego
szczekania kozła
zapomniawszy siebie

Barwą oczu ponosisz
w najdalsze wzniesienia

Wciąż obok
w milczeniu ku tobie
wspinam się przepaść
przenika przestrzeń
między nami

Ty pójdziesz górą
a ja doliną

Jak powiew powstający
z cienia i spiekoty
czuję ruch między
stanami skupienia

Nowy Gieraltów, 12 maja 1997 r. / 15 lutego 1998 r.

REZERWAT

Doszliśmy do rezerwatu
ciszy wyzwolenia
z wyznań wzajemnego
braku przeszłości

Szliśmy lekko
szczytami odwiecznie
wyzbytymi wysiłku

Pozostały za nami
jawory martwe
konary rosochy

Horyzont
jak zaciśnięte usta

Patrzyliśmy od granicy
w stronę swojego
domu kraju

Lesistość kleiła
zbocza zielone powieki

Tam także było
całkowicie cicho

Ni rzeki ni drogi
ani jednego budynku

Pojednane szczegóły
obiegały Słońce

Kończyła się analiza
anatomia organizm
kryła skóra

Ocaleliśmy niepostrzeżenie

Świat pozostawiony
bez potrzeby nadziei
przerastał książki mapy

Wyrazistość znaków
ostrością świerków

Z naszych stóp zsuwał się
łańcuch Gór Złotych

Bielice, 31 lipca 1996 r.

ŹRÓDŁO

Tu przejrzystość
formuje się w lustra

Kochać spoza siebie
zaczerpnąć dla kogoś

Rzeka jest kształtem
poznawania źródła
nie może nadejść
miłość ani odejść

Kochać to znaczy
zaczerpnąwszy
z ziemi tworzyć
na równi ze sobą

Rzeka to źródło
upływają brzegi

W narastającej lasami
nadziei zdaje się
spozrzegam
ślad opony
górskiego roweru

Wciąż wzwyż i w dół
po rozświetlony dukt
biel przezroczyta
bluzka błyszczą
lotki kół

Znikasz stojąc
w świetle zastępując drogę

Nowy Gieraltów, 8 czerwca 1997 r.

BIELICE

Widziałem Bielice

Pąk lepiężnika
pierwszą łuską
odsuwał muł

Góry Bialskie
i Złote
zrzucały białość

Z naciętej promieniami ziemi
płynęła Biała
brzoza w strzępach bystrzyzn

Pustoszało
od jaskrawości jakby
pierwszy gorąc
miał stopić zręby
ocalałych chat

Blask bazi powlekał
ciszą szum źródeł

Zobaczyłem Bielice

Jak pąk lepiężnika
pierwszą łuską
odsuwający muł

Wyrastałem
rosłem

Z wąwozu
z rezerwatu
Puszczy Śnieżnej Białki
z promieniotwórczości myśli
z gliny
znikąd

Z siebie

Obecniałem
nabierałem współrzędnych

Dorastałem
by obrócić się w chwilę

Roztoczyć miejscem

Streścić się
w zieleni

Jak pąk lepiężnika
łuskami odsuwając muł

Zobaczyłem Bielice

Ostatnią wioskę
na skraju ojczyzny

Garstkę światła z miłością
rzuconą w dół

W czerni źrenic

Bielice, 2 maja 1996 r.

SPIS WIERSZY

Wybór z nieistniejącego

- Na głębokości / 7
Fotografia Tsuneo Nakamury / 8
Mapy / 9
Przylądek / 10
Atlantyda / 11
Płomień / 12
Orion / 13
Urumczy / 14
Spoza siebie / 15
Ewangelia / 16
Rytuał / 17
Między lewym a prawym / 19
Broumovski monastyr / 20
Niekończące się preludium / 21
Fortepian / 22

U Kresów

- Kresowy pejzaż / 25
Gorajec / 27
Radruż / 29
Wobec krzyża / 31
Łówcza / 32
Las pod Cieszanowem / 33
Niebieski chodnik / 34
Ikonostas domowy / 35
Żywe gwiazdy / 36
Sen równonocy jesiennej / 37
Radość / 38

Błękitne przeciwstawienie

- Woda / 41
Kim jest / 42
Arka Pana / 44
Wigilia z Groznym / 46
Społeczność / 48
Błękitne przeciwstawienie / 51
Wielkanoc w Strudze / 54
Góra Świętej Anny / 56
Powrót / 58
Theatrum Sacrum / 60

Wobec czerwieni

- Wobec czerwieni / 63
Bez szkła / 66
Błędne Skały / 69
Strumień / 72

Ocean Spokojny / 73
Idiom / 74
Dym / 75
Szkłana góra / 76
Między wierszami / 77
Przełęcz / 78
Nierówność / 80
Rezerwat / 82
Źródło / 84
Bielice / 86

Nota: Niektóre z wierszy były publikowane, czasem w nieco zmienionej wersji. *Między lewym a prawym* „Patrzeć na siebie bez alfabetu” XI Noworudzkie Spotkania z Poezją 2001, *Kresowy pejzaż*, *Gorajec*, *Radruż*, *Wobec krzyża*, *Las pod Cieszanowem*, *Ikonostas domowy*, *Żywe gwiazdy* „Krasnogruda” 10/2000, *Radość* „Powściągliwość i Praca” 11/1999, *Wigilia z Groznym* „Pomosty” 1/1996, *Błękitne przeciwstawienie* „Pomosty” 2-3/1997/98, *Góra Świętej Anny* „Gazeta Prowincjonalna” 17/1999, *Wielkanoc w Strudze*, *Bez szkła*, *Błędne Skąły*, *Bielice* „Borussia” 14/1997, *Błędne Skąły*, *Dym* „Cień Serca” Świdnickie Dni Słowa 1995, *Ocean Spokojny* „Almanach Wałbrzyski” 1997, *Szkłana góra* „Jak przed podróżą” VI Noworudzkie Spotkania z Poezją 1996, *Theatrum Sacrum* Antoni Matuszkiewicz „Droga do Iwonicza” 1993 oraz „Stronica Śnieżnicka” 1/2000.